

Czym skorupka za młodu nasiąknie...

Witold Daniłowicz

Zasilenie szeregów myśliwych młodymi ludźmi jest konieczne do dalszego rozwoju polskiego łowiectwa. Ale jak sprawić, aby dzieci chciały iść w nasze ślady?

Niedawno, przy okazji zjazdu rodzinnego, wpadł mi w ręce pamiętnik ziemianina i myśliwego z ziemi kieleckiej Henryka Rudzkiego, urodzonego w 1883 r. W części opisującej dzieciństwo autora w końcówce XIX w. natknąłem się na następujący passus:

W mej pamięci jednym z najsilniejszych wrażeń tej epoki życia utrwalił się fakt zabicia pierwszego zająca. Fłober, mały sztucerek, miałem już dawno, nawet niezłe do celu i wróbli strzelałem, marzyłem jednak, aby kiedy być uczestnikiem prawdziwego polowania. Ojcu towarzyszyłem często na wycieczkach łowieckich, nieraz ku rozpaczy Matki, że się zaziębię, ale nie było sposobu zatrzymać mię w domu, choć rola moja ograniczała się do noszenia lub odszukiwania zabitej zwierzyny. Do strzału z dużej strzelby uważany byłem za mały. I oto nadszedł ów promienny dzień. Ojciec z p. Kotkowskim puścili ogary w Buczynie, sami się rozstawili na wiadomych przesmykach – ja oczywiście koło Ojca. Długo psy goniły, zawracały, poszły w parowy ku Kiełczyźnie, aż tu przyjeżdża po Ojca ekonom w jakiejś ważnej sprawie. Ojciec odjechał, obiecując zaraz wrócić, mnie dał strzelbę i więcej żartem, niż seryo, powiedział: pilnuj tu koło buka, jak wyskoczy na łękę, wyceluj i strzel. Stałem z całą uwagą i skupieniem, próbując się przymierzyć z tak długiej broni, ledwie ręką do cyngla dostaję, wtem głos psów coraz bliżej słyszeć się daje: „hau, hau”, głosi basem Zgubisz, a Śpiewka odpowiada mu dyskan-tem „ciaf, ciaf”, i oto rzeczywiście koło buka coś się poruszyło. Jak celowałem, tego nie pamiętam, ręce latały mi jak w febrze, wreszcie strzeliłem i, o dziwo, zając się przewrócić. Śpiewka go ciągnie w jedną stronę, ja, rzuciwszy strzelbę,

w drugą, schodzą się panowie, winszują, śmieją, wreszcie dopełniają zwykłego obrzędu chrztu myśliwskiego, farbą pierwszej zwierzyny. Dużo zwierzyny od tego czasu upolowałem, nie setek już, ale tysięcy, lecz fakt i radość tego pierwszego z niczem porównać się nie da.

Historia młodego panicza (Rudzki miał 10 lat, gdy wziął udział we wspomnianym polowaniu), który strzelił swojego pierwszego zająca, jest sama w sobie niezwykle ciekawa (jak zresztą cały pamiętnik). Najbardziej zainteresowała mnie jednak kwestia wpływu, jaki to wydarzenie – w opinii samego autora – wywarło na rozwój jego myśliwskiej pasji. To właśnie skłoniło mnie do napisania tych kilku słów na temat przyciągania dzieci i młodzieży do łowiectwa.

odpowiednia atmosfera w domu

Problem ten ma dwa wymiary. Po pierwsze, podejrzewam, że każdy rodzic będący myśliwym chciałby, żeby jego potomstwo dzieliło z nim łowiecką pasję, a w przyszłości odziedziczyło jego broń

Pierwszy sukces myśliwski wywarł ogromny wpływ na pozytywny stosunek mojego syna do myślistwa.

Dzisiaj ma 13 lat i nadal jest bardzo zainteresowany łowiectwem. Liczę, że to się utrzyma. Żałuję tylko, że swoje ostrogi łowieckie musi zdobywać za granicą!



Witold Daniłowicz

e-mail: witold.danilowicz@gmail.com

i trofea. Po drugie, wobec zauważalnego „starzenia się” kół przyciągnięcie młodego narybku do naszej braci to warunek dalszego rozwoju polskiego łowiectwa. Sprawa nie jest jednak prosta. Dla panicza, którego pamiętnik cytowałem powyżej, wychowanego w majątku ziemskim, myślistwo stanowiło coś naturalnego – temu hobby oddawał się ojciec, a często też matka, jak również ich znajomi i sąsiedzi. Nieraz pojawiało się w rozmowach i wspomnieniach. Co więcej, obok jazdy konnej było jedną z nielicznych dostępnych rozrywek.

Dzisiejszy dziesięciolatek znajduje się w zupełnie innej sytuacji. Jeżeli nawet ma szczęście urodzić się w domu polujących rodziców, to istnieje duża szansa, że w jego otoczeniu myślistwo nie jest już tak powszechne i nie odgrywa tak istotnej roli. Wciąż spotyka się też z krytycznymi głosami wobec łowiectwa oraz myśliwych – zaczynając od mediów, przez szkołę, a na rówieśnikach i ich rodzicach kończąc. Ponadto otacza go wiele łatwo dostępnych rozrywek, zarówno w domu (np. telewizja i gry komputerowe), jak i poza nim (kino, park rozrywki itp.).

Jak zatem oderwać młodego człowieka od telewizora czy komputera i zaciągnąć go do lasu? Jeżeli nawet raz nam się uda, to co zrobić, żeby chciał tam wracać? Na te pytania nie ma jednej dobrej odpowiedzi. Niewątpliwie ►

ważne jest, aby dziecko wyrastało w atmosferze, w której łowiectwo to coś naturalnego, o czym dorośli rozmawiają i dyskutują w jego obecności. (W tym kontekście polecam bardzo ciekawy list Beaty Wróbel pt. „Łowiectwo czasem dla rodziny?”, zamieszczony w **BŁ** nr 11/2014). To stworzy właściwy podkład, pozwalający mu przeciwstawić się krytycznym głosom wobec łowiectwa, z którymi prędzej czy później się zetknie. Kluczową sprawą jest jednak jak najwcześniejsze dopuszczenie młodego człowieka do aktywnego udziału w tym, co stanowi dla niego najbardziej atrakcyjny aspekt myślistwa – w strzelaniu. Najpierw do rzutków i do tarczy, potem do ptaków oraz drapieżników, aż wreszcie do grubszej zwierzyny.

myślistwo jako prawdziwa przygoda

Dla wielu z nas łowiectwo to przygoda. Tak samo widzi to dziecko. I trzeba ten fakt wykorzystać. Od najmłodszych lat jest ono bombardowane przygodami – w kinie, telewizji, grze komputerowej. Ale klikanie myszką to nie to samo co pociąganie za spust i strzelanie choćby do rzutka! W tym właśnie widzimy naszą

szansę. Musimy pokazać dzieciom i młodzieży, że my, myśliwi, mamy do zaoferowania prawdziwą przygodę, nie taką z filmu czy z internetu. U nas jest rzeczywista akcja. Problem polega na tym, że dzisiejsi młodzi ludzie nie chcą słuchać o przygodzie ani być biernymi widzami – to znajdują w kinie i w komputerze. Oni pragną przeżyć ją naprawdę!

Konkluzja jest prosta. Najlepszy sposób na przyciągnięcie dzieci i młodzieży do łowiectwa to danie im możliwości aktywnego uczestnictwa w strzelaniu na strzelnicy i podczas polowania. Oczywiście nie od razu samodzielnie i w pełnym zakresie. Pod nadzorem rodzica czy opiekuna. Ale trzeba im na to pozwolić. Często biorę udział w dyskusjach o metodach propagowania łowiectwa. Na ogół sprowadzają się one do rozprawiania o pogadankach w szkołach na temat dokarmiania zwierząt przez myśliwych. Zapewne prowadzenie takich zajęć to zubożna i pożyteczna działalność, ale wątpię, aby były one zdolne zachęcić jakieś dziecko do zostania myśliwym. Co najwyżej do wstąpienia do Ligi Ochrony Przyrody. Bez wątpienia lepszy rezultat przyniosłoby zaprowadzenie całej klasy na strzelnicę. Zdaję sobie sprawę, że na

przeszkodzie stoją zarówno obowiązujące przepisy, jak i kwestie czysto praktyczne. Dla dzieci trzeba by wyposażyć strzelnice w lekkie śrutówki w kal. 28 albo 20, a te nie cieszą się w Polsce dużą popularnością. Większy problem stanowią kwestie prawne – modyfikacja przepisów w tym zakresie wymagałaby od naszej policji kompletnej zmiany myślenia i stosunku do polujących.

właściwy moment

Kluczową sprawą jest określenie właściwego momentu, w którym zaczniemy takie szkolenie młodego człowieka. Im później to zrobimy, tym mniejsze szanse na sukces. 18-latkę, a nawet 16-latkę dokonały już swoich wyborów – szkoły, dziewczyny czy chłopaka, sportu lub hobby. Podsuniecie im w tym momencie nowej propozycji jest moim zdaniem mocno spóźnione. Nie mają bowiem już na to czasu w swoim kalendarzu. Dlatego trzeba zacząć znacznie wcześniej, zapewne z 10-latkami. W angielskich i amerykańskich czasopismach łowieckich znajdujemy sporo zdjęć 10- czy 11-latków na strzelnicy bądź z pierwszym trofeum myśliwskim, najczęściej bażantem lub zającem. Nie chciałbym



Ksawery
na linii myśliwych
na swoim pierwszym
polowaniu w Anglii

Arch. Witolda Daniłowicza (2)

się tu zajmować kwestią, w jakim wieku dziecko jest na tyle dojrzałe emocjonalnie, żeby pozbawić życia ptaka czy zwierzę. To w dużej mierze zależy od konkretnego przypadku, a decyzję powinni podejmować rodzice.

Rozmawiając z polskimi myśliwymi, często zadają pytanie, kiedy zaczęli polować. Okazuje się, że bardzo wielu z nich rozpoczęło swoją łowiecką przygodę w bardzo młodym wieku, prawie zawsze u boku ojca. Wtedy to strzelili pierwszego lisa z ambony czy pierwszego kozła. Oczywiście na konto ojca, żeby nikt postronny o tym nie wiedział. A więc i w naszym kraju mamy myśliwych, którzy instynktownie wyczuwają ten moment, kiedy należy wprowadzić swoje dziecko do łowiectwa, i robią to. Niestety, wszystko musi się odbywać po kryjomu, bo polskie przepisy na to nie zezwalają.

Może więc nadszedł czas, aby podjąć ten temat – kiedy oraz w jaki sposób zacząć uczyć dzieci strzelać i polować? Może warto lobbować za taką zmianą ustawy, która pozwoli młodzieży strzelać na strzelnicy oraz polować w towarzystwie i pod nadzorem rodziców? Wszystko po to, aby zapewnić najlepszą przyszłość naszemu łowiectwu. Jestem też skłonny bronić tezy, że myśliwi, którzy zostali we wczesnym wieku wprowadzeni do łowiectwa przez swoich rodziców, należą do najbardziej etycznych oraz wartościowych członków naszej braci – nie ujmując oczywiście nic tym kolegom, którzy (tak jak ja) trafili do myślistwa inną drogą i w późniejszym wieku.

osobiste doświadczenia

Powyższe przemyślenia są oparte na doświadczeniach z moim własnym synem. Wychowany w domu o dużych tradycjach łowieckich od najmłodszych lat jeździł na strzelnicę i na ambonę. Ale żyłka łowiecka obudziła się w nim dopiero, gdy pozyskał pierwszego bażanta. Podobnie jak panicz z pamiętnika, miał wtedy 10 lat i wybrał się ze mną na polowanie zbiorowe na bażanty do prywatnego majątku w Anglii. Jadąc tam, nawet nie przypuszczaliśmy, że syn będzie strzelał. Miał aktywnie uczestniczyć w części towarzyskiej (tj. w posiłkach), a biernie – w części myśliwskiej, stojąc przy mnie na stanowisku. W trakcie kolacji przed polowaniem gospodarz – dowiedziawszy się, że Ksawery strzelał już z dubeltówki na strzelnicy



Autor z synem

– zaproponował, aby tak jak jego dzieci (dwóch synów i córka), które zaczęły polować w tym samym wieku, spróbował swoich sił na łowach. Nietrudno sobie wyobrazić, że chłopiec długo nie mógł usnąć tego wieczora.

Następnego dnia, ubrany jak typowy angielski myśliwy, pod krawatem, Ksawery pojawił się na zbiorce. Przez pierwsze trzy pędzenia stał na stanowisku obok mnie i uczył się, jak się zachowywać – co wolno, a czego nie. Czas próby przyszedł po lunchu. Mój syn dostał małą dwudziestkę należącą do pani domu i wyruszyliśmy na stanowisko. Przygotowano je w środku małego lasu – bardzo bezpiecznie, bo, po pierwsze, byliśmy otoczeni drzewami i nie widzieliśmy nikogo, a po drugie, jedyna szansa na trafienie bażanta to strzał prosto do góry, w małe okienko w koronach drzew. Ponieważ nadlatującego ptaka nie dało się zobaczyć praktycznie aż do momentu, kiedy pojawił się w okienku, prawdopodobieństwo jego pozyskania było niewielkie. Jak się jednak domyśliłem, chodziło głównie o bezpieczne stanowisko, gdzie Ksawery odda kilka strzałów próbnych. Wszystko szło zgodnie z planem aż do czasu, gdy trzeci przelatujący

przez nasze okienko bażant, pięknie trafiony, spadł młodemu myśliwemu pod nogi! Proszę sobie wyobrazić jego radość i dumę. W następnym, ostatnim pędzeniu mieliśmy już normalne stanowisko, a tzw. torba (ang. *bag*) syna, czyli liczba upolowanych przez niego bażantów, wzrosła do czterech.

W całej tej historii fakt, że Ksaweremu udało mu się strzelić cztery bażanty i przeżyć niezwykłą przygodę, stanowi tylko jeden aspekt zagadnienia. Drugi to stosunek innych uczestników łowów do młodego myśliwego. To, że potraktowano go tak poważnie – jak dorosłego – i pozwolono wziąć udział w polowaniu (działalności zarezerwowanej przecież dla dorosłych), zrobiło na nim olbrzymie wrażenie. Co więcej, był otoczony szczerą sympatią oraz wsparciem wszystkich uczestników i gości!

Wydaje mi się, że – podobnie jak w przypadku autora pamiętnika – ten pierwszy sukces myśliwski wywarł ogromny wpływ na pozytywny stosunek mojego syna do myślistwa. Dzisiaj ma 13 lat i nadal jest bardzo zainteresowany łowiectwem. Liczę, że to się utrzyma. Żałuję tylko, że swoje ostrogi łowieckie musi zdobywać za granicą! ●